

Wycieczka autokarowo-pieszna Frydlant - Hejnice - Ořešník

Na dzień 1 września 2012 roku Oddział PTTK "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze zaplanował wycieczkę autokarowo - pieszą do Czech. Tym razem mieliśmy zwiedzić zamek we Frydlancie, sanktuarium maryjne w Hejnicach oraz wejść na Ořešník. Chętnych było tak dużo, że już dawno zabrakło miejsc. Nic więc dziwnego, że nawet widoczne chmury nie mogły nas odwieść od ruszenia w trasę. Autobus był na tyle wygodny, że nawet nie poczuliśmy trudów podróży. Zwłaszcza, iż kierowca okazał się nie tylko cierpliwy ale także bardzo uczynny.

Zaraz po dotarciu do Frydlantu podeszliśmy do kasy zamkowej aby odebrać zamówione na godzinę dziesiątą bilety. Już tam zamek wydawał nam się być dużym obiektem. Jednak dopiero po zwiedzeniu poznaliśmy jego ogrom. Główną atrakcją zamku są zgromadzone tu oryginalne eksponaty. Zamek bowiem nigdy nie był opuszczony. Do końca II wojny światowej był własnością prywatną, a potem przejęło go państwo, które już w 1947 roku ponownie otworzyło w nim muzeum, funkcjonujące tu już od 1801 roku. Jest to najstarsze tego typu muzeum w środkowej Europie. Aby tu wejść trzeba jednak zapłacić aż 210 koron. Bilety ulgowe przysługują tylko młodzieży i studentom. Czesi niestety nie stosują zniżek dla emerytów. Dowiedzieliśmy się, iż zarówno w dniu dzisiejszym jak i jutro, w godzinach wieczornych ma odbywać się tu coś w rodzaju naszych nocy muzealnych. Z tą tylko różnicą, że u nas wstęp jest bezpłatny a tu nie. Uczestniczący w nocnym zwiedzaniu zostaną jednak poczęstowani ciastami.



Bazaltowe skały, na których wsparto mury zamku we Frydlancie. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie zrażeni tą wiadomością ruszamy na zamek. Oprowadza nas pan Marcin, który świetnie mówi po polsku. Wkrótce poznajemy historię budowy obiektu. Dowiadujemy się o poszczególnych fazach rozbudowy i kolejnych właścicielach zamku. Zresztą gołym okiem widać, że zamek musiał powstawać stopniowo. Kolejne jego skrzydła są w różnych stylach architektonicznych. Największe wrażenie wywiera na nas dekoracja sgraffitowa. Jest ona niezwykła, chociaż zważywszy na jej kolory: biały i czarny, nieco ponura. Podchodząc "drogą rycerską" dostrzegamy skały bazaltowe wyglądające jak poukładane jedna na drugiej. Nazywane są one "diabelskimi organami". Wchodzimy na mniejszy dziedziniec najstarszej części zamku. Jest tutaj pierwsza z trzech wież zwana Indicą mająca 49 metrów wysokości, 10 metrów średnicy i mury o grubości dochodzącej do 4 metrów. Umieszczono w niej dwie cele więzienne. Nie dowiedzieliśmy się czy komuś udało się stąd uciec ale sądząc po później zobaczonych solidnych drzwiach oraz potężnej trójkątnej kłódce i kilku zamkach, chyba nie.



Nasz przewodnik - Marcin. Foto: Krzysztof Tęcza

Zwiedzanie zaczynamy od komnaty z makietą zamku. Są tu także portrety właścicieli. Na początku był to ród Berka - Dub (lata 1255 - 1278). Jednak gdy stali się oni zbyt bogaci król Przemysław Ottokar II skonfiskował im zamek i sprzedał go Bibersteinom, którzy władali tu od 1278 do 1551 roku, a więc prawie trzy wieki. W latach 1558 - 1620 obiekt był własnością rodziny Redern. Gdy zginął Melchior rządy objęła jego żona Katarzyna, krążąca dzisiaj po zamku jako Czarna Dama. Mimo, iż rozwinęła przemysł, otworzyła wiele browarów to ze względu na bezwzględne rządy została ona tak zniechęcona przez mieszkańców, że po jej śmierci pochowano ją poza miastem w miejscu, które utrzymano w tajemnicy. Obawiano się bowiem, że może dojść do aktów zbezczeszczenia zwłok. Jednak zyski jakie przynosiła jej polityka pozwoliły na rozbudowę zamku.

Syn Katarzyny, Krzysztof po klęsce w bitwie pod Białą Górą, pozostawił czeski majątek uciekając za granicę do swoich dóbr zawidowskich. Dlatego zamek został skonfiskowany i stał się własnością Albrechta von Waldsteina, naczelnego dowódcy wojsk Habsburgów. Mimo, iż na zamku był on tylko dwanaście lat pozostawił po sobie pamiątki świadczące o jego emocjonalnym podejściu do niektórych spraw. Możemy zobaczyć wielki obraz przedstawiający konia, którego Waldstein pozyskał jako zdobycz wojenną, gdy w 1632 roku w bitwie pod Lützen zginął król szwedzki Gustaw Adolf, poprzedni właściciel rumaka. Po śmierci koń został wypchany i zachował się do dnia dzisiejszego w całkiem niezłym stanie. Natomiast Waldstein, mimo iż na stałe zatrudniał astrologa, który przedstawiał mu jego przyszłość, nie przewidział, że gdy zamarzyła mu się korona, jego własny generał okaże się lojalnym poddanym cesarza i doniesie mu o knowaniach księcia. Księżę został za to pozbawiony życia. Zamek jako nagrodę ofiarował cesarz generałowi Maciejowi Gallasowi. I właśnie kolejna sala zwana rycerską poświęcona jest temu rodowi. Jest tu wiele obrazów przedstawicieli tego rodu. Przede wszystkim Johana Gallasa wicekróla Neapolu, który mimo iż po śmierci w 1719 roku został pochowany z dala od Frydlantu to jego serce złożono na wieczny spoczynek w pobliskich Hejnicach. Kolejny obraz przedstawia piękną żonę Johana, która znana była jako kobieta o talii osy. Poddała się ona operacji podczas której wycięto jej dwa dolne żebra i dzięki temu zabiegowi osiągnęła obwód talii 38 cm. Niestety w późniejszym czasie przyczyniło się to do jej przedwczesnej śmierci.

W roku 1759 warownia przeszła na własność kolejnego rodu, którego przedstawiciele zobowiązali się do swojego nazwiska Clam dodać drugi człon Gallas. Było to spowodowane brakiem potomka i wygaśnięciem tej rodziny. Byli to ostatni prywatni właściciele zamku. Władali nim aż do końca wojny w 1945 roku. Wtedy zostali wysiedleni a zamek przejęło państwo.

Następna komnata to kancelaria generała Edwarda. Zgromadzono tu wiele ciekawych eksponatów. Jest to pierwsze z dotychczas oglądanych pomieszczeń o zdobnym kolorowym suficie. Dotychczasowe miały bardzo surowe, białe stropy. W sali obok zobaczymy wiele ubrań noszonych w XIX wieku przez służbę i urzędników. Z okien rozpościera się piękny widok. Jednak w dniu dzisiejszym naszą uwagę przykuwa stojąca w rzece wielka koparka, przy pomocy której rozbierany jest betonowy most. Po obejrzeniu różnych środków transportu jakie zachowały się do dnia dzisiejszego docieramy do małej jadalni zamkowej. Wśród wielu eksponatów wyróżnia się bardzo ciekawy, ni to zlew, ni to cynowa misa z jajowatym pojemnikiem na wodę zakończonym kranikiem. Oczywiście urządzenie to służyło do mycia rąk. Aby w czasie posiłku nie przeszkadzały żadne hałasy na ścianie zawieszono zegar wykonany w całości z drewna. Natomiast na podłodze rozłożono skórę niedźwiedzia, jednego z dwóch, które żyły w suchej fosie służącej jako zwierzyńiec.

Idąc do zbrojowni, w której na suficie umieszczono herby okolicznej szlachty, mijamy bardzo solidne drzwi, za którymi znajdowała się cela. Widoczna potężna trójkątna kłódka oraz kilka zamków raczej nie pozostawiały wątpliwości, że stąd nie da się uciec. W samej zbrojowni znajdują się hakownice, bojowe cepy, halabardy, piki ale także działa czy wiwatówki. Najważniejsze, że wszystkie te eksponaty to oryginały używane przez załogę zamkową. Ponieważ poszła plotka, że w kolejnej sali, w której znajdują się uprzęże dla koni będzie można przymierzyć się do nich, niektórzy zwolnili kroku nie chcąc być pierwszymi. Nikt jednak nie zgłosił się by sprawdzić czy taka uprzęż pasowała by na niego. A szkoda, bo prowadzący wyraził zgodę na taki eksperyment. Same zaś uprzęże były piękne. Chomontowe posrebrzane, a piersiowe pozłacane. Był tu także strój osoby przewożącej pocztę. Miała ona wielki kapelusz, do którego wkładała listy i zawieszała go na plecy tak jak plecak. Oprócz tego, by było mu ciepło wykonano dla niego specjalne wielkie buty, do których wkładał jako ocieplenie słomę. Wreszcie widzimy pomieszczenie robocze. Jest to kancelaria zamkowa. To tu przechowywano wszelkie dokumenty związane z zamkiem, z jego finansami czy notowano należności i ich spłaty. To tu tak naprawdę pracowano. Na ścianie wisi obraz z 1660 roku będący mapą przedstawiającą ziemie frydlańskie.

Po pokonaniu prawie stu stopni dochodzimy do kaplicy zamkowej. To właśnie tutaj przychodzili właściciele zamku by się pomodlić, korzystając ze specjalnego łącznika na pierwszym piętrze. Zasiadali oni na balkonie. Zwykli śmiertelnicy mieli swoje miejsca niżej. Ciekawostką tego miejsca jest fakt umieszczenia tu aż dwóch ołtarzy. Początkowo dziwiło to nas. Jednak wyjaśnienie okazało się bardzo proste. To nie przejaw pychy czy pokazania swojej ważności, ale wyrażenie szacunku dla poprzednika. Otóż gdy budowano kaplicę św. Anny wystawiono jeden ołtarz. Natomiast gdy zmienili się właściciele wystawiono drugi, zachowując pierwszy. Jeden bowiem jest ewangelicki a drugi katolicki. Wynikało to w fakcie, iż kolejni właściciele byli innego wyznania.

Wchodząc do części mieszkalnej zbudowanej nieco później niż pierwotny zamek widać od razu podwójne okna. Jest to część gościnna i sypialna. Zanim jednak przyjrzymy się całości ciekawe jest, że mimo iż zeszliliśmy schodami na dół to jesteśmy na poddaszu. Wynika to z faktu różnicy poziomów na jakich posadowiono kolejne obiekty. Wszak jesteśmy na wzgórzu. Na tej kondygnacji znajduje się sypialnia, pokój wypoczynkowy, buduar i sanitariaty. Wszystkie w jednej linii tak, że przebywający tu mieli swoje niezależne przejście. Natomiast służba korzystała z korytarza, na którym widać drzwiczki do ustawionych w pokojach pieców. Nie było bowiem w tamtych czasach do pomyslenia żeby przeszkadzać podczas palenia w nich. Wszystkie przykre skutki tej czynności, takie jak hałas czy zapach pozostawały na zewnątrz pomieszczeń mieszkalnych. Najpiękniejszy jest tu salon kwiatowy. Oczywiście nazwa nie wzięła się od stojących tutaj na specjalnych stołach zwanych żardinierami żywych kwiatów ale od całego wystroju pomieszczenia. Zarówno tapety, zasłony a nawet ozdobne węże na suficie mają motyw roślinny. Jest tu bardzo kolorowo. To właśnie tutaj odbywały się wszelkie koncerty. To tu muzykowano.

Na niższej kondygnacji umieszczono skrzydło kawalerskie. Wchodzi się tam przez pomieszczenie w którym na ścianach zawieszono wielkie miedzioryty. Ten najładniejszy przedstawia panoramę Rzymu w XVIII wieku. Obok przygotowano niewielki pokój z mebelkami do różnych gier modnych w tamtych czasach. Ciekawostką, z tej strony zupełnie niewidoczną, jest fakt połączenia tego pokoju bezpośrednio z sypialnią, tak by gdy dopadnie zmęczenie można było wymknąć się

najkrótszą drogą prowadzącą do łóżka. Niestety zarezerwowane to było tylko dla osoby korzystającej z przyległej sypialni. Pozostali goście musieli korzystać z korytarzy. W pomieszczeniu obok znajduje się barokowy stół, który swoim kształtem wzbudza szczególne zainteresowanie. Normalnie jest on okrągły. I to zarówno blat jak i część podnóżkowa. Jednak widoczne zawiasy pozwalają obie części złożyć by z kręgu zrobić kwadrat. Wiadomo przecież, że przy okrągłym stole się nie kantuje. Tak samo panie mogły spokojnie korzystać z tego mebla bez ryzyka pozostania starymi pannami.



Barokowy okrągły stół z możliwością przerobienia go na kwadrat. Foto: Krzysztof Tęcza



Uczestnicy wycieczki na dziedzińcu zamkowym. Foto: Krzysztof Tęcza

Docieramy na piętro męskie. Nareszcie widzimy wspaniale zdobione i kolorowe sufity. Wszak wiadomo nie od dzisiaj, że to mężczyźni są bardziej wrażliwi na piękno. Przynajmniej tak było dawniej. Pokój sypialny wyposażony jest w boczne przejście dla służby. Jest tu wszystko czego trzeba by przenocować i odpocząć. Nawet biblioteka. I to jest to! A gdy już się nie śpi to można udać się do

komnaty obok, zwanej błękitną, wyposażonej nawet w romansówkę czyli mebel służący do siedzenia w pozycji półleżącej dwu osób naprzeciwko siebie ale oddzielonych oparciem. Stąd przechodzi się do sali herbowej, w której na ścianach umieszczono herby kolejnych właścicieli zamku i okresy w jakich władali oni tą posiadłością. Były to kolejno rodziny: Berka - Dub (1255 - 1278), Biberstein (1278 - 1551), Redern (1558 - 1620), Waldstein (1622 - 1634), Gallas (1634 - 1759), Clam - Gallas (1759 - 1945). Dla wygody dobudowano tu wielką jadalnię oraz kredens gdzie podgrzewano posiłki. Znajdują się tam także spiżarnia a nieco dalej kuchnia pałacowa. Umieszczono tu trzy piece, a z jednego z nich poprowadzono rury, którymi dostarczano na górę ciepłą wodę.

Ponieważ był to już koniec naszego spaceru po zamku prowadzący nas pan Marcin zaprosił nas do ponownego odwiedzenia tego miejsca sugerując zwiedzanie wieczorne. Ja dodam tylko, iż podczas naszej wędrówki skrzętnie liczyłem wszystkie schody jakie musieliśmy pokonać idąc zarówno do góry jak i na dół i wyszło mi ich aż 252. A nie są to oczywiście wszystkie jakie tu się znajdują. Jest ich kilkakrotnie więcej.



Kościół Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wreszcie wyszliśmy przed zamek okazało się, że zwiedzaliśmy go aż dwie i pół godziny. Zeszliśmy zatem do autokaru i ruszyliśmy w kierunku Hejnic. Jest to małe miasteczko, w którym znajduje się wyjątkowa świątynia. Powstała ona, jak głosi legenda, w 1211 roku. Gdy w tak odległych

czasach wędrował tutaj pewien biedny człowiek, nocując pod lipą ujrzał we śnie Matkę Boską. Ta powiedziała mu, że jeśli przyniesie tu figurkę i pomodli się to jego żona i dziecko zostaną uleczone. Tak też zrobił. Niestety nie stać go było na jakąś piękną rzeźbę dlatego za wszystkie pieniądze jakie miał kupił niewielką zakurzona figurkę przedstawiającą Matkę Boską z Jezusem. Nie to jest jednak, jak wiemy, najważniejsze. Dlatego jego modły zostały wysłuchane. Gdy wiadomość o tym cudownym zdarzeniu rozeszła się po okolicy zaczęli tu przybywać inni, którzy mieli nadzieje na uzdrowienie. Tak też się działo. Wybudowano wtedy drewnianą kapliczkę, która po wielu przebudowach i rozbudowach, można powiedzieć że wygląda tak jak to dzisiaj widzimy. A widzimy tu potężny kościół o dwóch wieżach i kopule zwieńczonej latarnią. Zewnątrz ustawiono kopie figurki jednak o wiele razy większą od oryginału. Wiadomo stojąca wysoko rzeźba nie byłaby widoczna. Oryginał mierzący zaledwie 39 cm znajduje się w ołtarzu głównym. Jest to obecnie największy skarb bazyliki Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii, znany jako cudowna figurka Matki Bożej Wspaniałej – Mater Formosa. Całe wnętrze świątyni jest pięknie zdobione. Wielkie wrażenie robi, zaraz po wejściu do świątyni, wspaniały ołtarz, który po podejściu do niego okazuje się namalowanym na ścianie. Trzeba przyznać, że uczynił to prawdziwy fachowiec. Z dala nie zauważa się tego. Ciekawostką jest wystająca z balustrady ambony ręka trzymająca w dłoni krzyż. Taka sama ręka wystawała ze ściany w korytarzu zamku we Frydlancie. Z tą tylko różnicą, że ta w kościele była koloru białego, a ta w zamku czarnego i w dłoni trzymała latarnię.



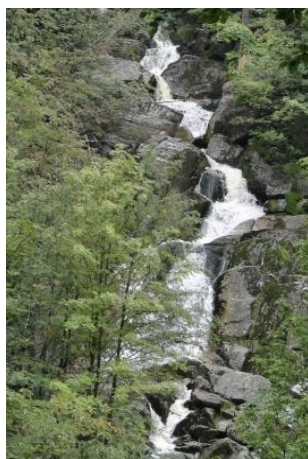
Cudowna figurka Matki Bożej Wspaniałej. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy tak czekaliśmy by ruszyć w dalszą trasę z niepokojem patrzyliśmy na spowite w mgłach góry. To przecież tam mamy za chwilę się wspinać. Na szczytowej skałce widać krzyż. Mamy nadzieję, że chmury zostaną rozwiane i nie zacznie padać. Byłoby nieciekawie. Ruszamy zatem do cukierenki. Może coś smacznego poprawi nam humory. Po chwili zastanowienia wybieramy jednak lody. Okazało



Sanktuarium w Hejnicach. Foto: Krzysztof Tęcza

się to strzałem w dziesiątkę. Były pyszne. Niby, tak jak u nas, gałkowe a jednak. Niezmrożone, w miarę ciepłe. No po prostu niebo w gębie. Palce lizać. Ale już machają nam byśmy wsiadali do autobusu. Wracają ostatni maruderzy, którzy wybrali się na zakupy do pobliskiego sklepu. Dzięki własnemu środkowi lokomocji mamy okazję podjechać aż pod sam las. Zaoszczędzamy około dwóch kilometrów. To sporo. Przekonaliśmy się o tym już za chwilę. Droga pnie się coraz bardziej pod górę. A i jej nawierzchnia zmienia się w coraz bardziej skalistą. Po chwili jesteśmy mokrzy. Pewnie już tak będzie. Gdy docieramy do mostku bardziej niecierpliwi udają się nieznakowanym szlakiem w kierunku wodospadu Velkého Štolpichu. My, bardziej ciekawi, idziemy przez mostek by po chwili wypatrzeć potężną kamienną barierę, na której widać wyrytą datę 1891. Jest to pozostałość zbudowanej tu Štolpišskiej silnicy nazywanej przesadnie Autostradą Alpejską. Niestety po powodzi w 1958 roku nie naprawiono jej jak należy i od ponad pół wieku przyroda stara się ponownie zagarnąć te tereny dla siebie. Mimo to wciąż widać jak solidna była to budowla. Nieco wyżej na skale znajduje się zupełnie nowa tablica pamiątkowa. Zastąpiono nią stara, która zniknęła. Ciekawym jest fakt poświęcenia jej cesarzowej Elżbiecie. Mimo iż cały czas słyszymy szum spadającej wody to teraz nasila się on bardzo wyraźnie. To oznaka, że docieramy do wodospadu. Gdy dochodzimy do mostku widać nad nim jak woda spada kilkudziesięciometrowymi kaskadami. My także musimy zejść na dół. Okazuje się to bardzo niebezpieczne. Skały są tu omszałe i śliskie. Wąska ścieżka nie ułatwia tego. Na dodatek widać resztki po uciętych słupkach od barierki. Musimy sobie jakoś radzić. Ale wkrótce jesteśmy u celu i spotyka nas nagroda. Widok w górę na spadającą wodę to rewelacja. Czekamy aż wszyscy do nas dotrą. Niestety okazuje się, że brakuje sporej grupki osób. To ci co poszli na skróty. Nie czekali na nas. Trudno, ruszamy sami. Znowu pod górę. Nagle niespodzianka. Na dużym prostym gładzie ułożone całe stosy małych kamyczków. Nie wiadomo o co chodzi. Snujemy różne domysły. Ale chyba nikt nie jest pewien tego o



Wodospad Velkého Štolpichu.
Foto: Krzysztof Tęcza



Widok na Hejnice z Ořešnika. Foto: Krzysztof Tęcza



Zdobywcy Ořešnika. Foto: Krzysztof Tęcza

czym mówi. Gdy docieramy do przełęczy przy Ořešniku część osób schodzi na dół, część siada na ławeczce. Tylko kilkoro z nas rusza na szczyt. Fakt, prowadzący wycieczkę Wiktor Gumprecht mówił nam, że wejście jest strome i bardzo niebezpieczne. Jednak to co ujrzeliśmy przerosło nasze oczekiwania. Dobrze że nie padał deszcz bo chyba dali byśmy sobie spokój z dalszą drogą. Powoli trzymając się barierek i korzystając z wyrąbanych w skale stopni docieramy na sam szczyt. Stoi tam drewniany krzyż. Bez zbędnych ozdób. Znajdują się na nim tylko tabliczki z informacjami o renowacji. Krzyż został tu postawiony w 1819 roku jako upamiętnienie dwóch franciszkanów którzy spadli w przepaść. Były także inne ofiary. Jednak widok jaki rozpościera się stąd warty był naszego trudu. Dopiero stąd widać jak wielkie jest sanktuarium Matki Bożej Hejnickiej. Robimy pamiątkowe zdjęcia. Dużo pamiątkowych zdjęć. Bardzo dużo. Trzeba przecież nagrodzić się za wysiłek jaki włożyliśmy w



Wielka beczka. Foto: Krzysztof Tęcza

dotarcie do tego miejsca. Cała dzisiejsza wycieczka jest bardzo trudna i wymagająca. Myślę oczywiście o trasie, nie o uczestnikach. Gdy nasyciliśmy swoje oczy tymi wspaniałymi widokami ruszamy na dół. Najpierw schodząc bardzo ostrożnie ze skał, później stromą ścieżką w dół staramy się nie rozpędzać tak by nie połamać sobie nóg. Wkrótce docieramy do Hejnic gdzie spotykamy pozostałe osoby. Wszyscy robimy drobne zakupy i ruszamy w drogę powrotną do domu. Ale najpierw zajeżdżamy do postawionej w 1931 roku wielkiej, bo mieszczącej około miliona litrów beczki przerobionej na restaurację. Jesteśmy w Wielkiej Beczce (Obři sud). Ponieważ czujemy lekki głodek a nie ma w pobliżu Danonka chcemy zamówić coś konkretnego. Niestety pani kelnerka zamiast przyjąć zamówienie woła, że jest nas za dużo, że nie ma czasu i odchodzi. Jesteśmy delikatnie mówiąc rozczarowani. Dziwna sytuacja. Chyba przeszkodziliśmy pani w jakiś planach. Może chciała wcześniej pójść do domu. Gdy po pewnym czasie wracam na salę widzę, że pani jednak przyjmuje zamówienia. Nie wiem co zmieniło jej nastawienie. Może rozmowa z szefem. Składam zamówienie i po chwili wszyscy jemy smaczne kotleciki. Nie powiem obiad był bardzo smaczny. I gdyby nie pierwsze wrażenie byłoby całkiem przyjemnie. Niestety nie wszyscy posłuchali rady by nie dawać żadnych napiwków. Uważam że tym razem danie napiwku jest niewychowawcze. Trudno.

Gdy się najedliśmy i skosztowaliśmy miejscowego piwa wracamy w stronę Jeleniej Góry, gdzie czeka nas jeszcze jedna niespodzianka. Tym razem miła. Pan kierowca zaczął zachowywać się jak taksówkarz. Podwoził wszystkich gdzie sobie życzyli.

Krzysztof Tęcza